

Saeculum

FemGdyby rok temu ktoś mnie zapytał o przyszłość to opowiedziałabym mu o tym, jak zdołamy ją naprawić... jak stanie się bardziej znośna. Patrząc na to teraz uważam te słowa za najgorsze kłamstwo, które mógłbym wypowiedzieć kiedykolwiek nagłos. To wszystko przez moje psychotropy... wycofali je z produkcji i zamiennik nie potrafi już tak dobrze zakrzywić mi wizji świata. Jak łatwo się żyło będąc szczęśliwym. Podobno bardzo uzależniały... lecz co z alkoholem albo papierosami? Mogli już zabrać te krople do nosa od których jestem uzależniony od trzydziestu lat i bez nich nie potrafię normalnie oddychać. Ale dlaczego musieli kłaść swoje szpony akurat na tych tabletkach?

Dziś marzę tylko o śmierci... cholerny postęp medycyny musiał wydłużyć życie ludzi do dwustu lat. Nikt nie zapytał mnie o zdanie. Może ja nie chcę tyle żyć? Z drugiej strony przecież też się nie zabiję... zbyt dużym tchórzem jestem bym sam miał zawiązać sznur...

Obudził mnie ból głowy. Niechętnie przewróciłem się na drugi bok. Wtuliłem się w poduszkę i próbowałem nieskutecznie z powrotem zasnąć. Gdybym miał tylko moje dawne leki... już bym śnił o czymś przyjemnym... teraz pozostało mi tylko spisać sen na straty.

Na stoliczku obok stała prawie że pusta butelka wódki. Nie przypominałem sobie, abym w ogóle pił poprzedniego dnia. Moja głowa jednak potwierdziła, że butelka nie opróżniła się sama.

Przez moment przemknęła mi myśli by i teraz przed pracą wziąć parę łyków. Może taka mieszanka z nowymi lekami by uśpiła moje myśli? Sięgałem już po butelkę, lecz poczułem jak nagle zaczęło mi się zbierać na wymioty. Po wódzie rzygałem jak kot. Nie wiedziałem dlaczego i tak ją wciąż dzień w dzień piłem, skoro zawsze czułem się tak źle. Może to te geny? Pijański naród od wieków hodował swoje upodobania w upijaniu się do umarłego. Nachylając się nad toaletą powtarzałem sobie, że nie jestem alkoholikiem... tylko Polakiem.

Sięgnąłem po mój telefon by sprawdzić, jaka katastrofa naszła tym razem gdy spałem. Może to las płonie? Rzeki wysychają? Ludzie umierają? Nic...nic się nie stało. Cisza. Jedyne przewinęło się parę artykułów o jasnowidzach przepowiadających wojny i kataklizmy. Za nimi wlekli się księża nakazujący modlitwę o zbawienie (i przy okazji wyższe datki na kościół, bo inflacja miała się dobrze w obecnych czasach). Przeczuwałem, że ta cisza była tylko spokojnym podmuchem wiatru przed sztormem... zawsze tak to się kończyło.

Spojrzałem na siebie w lustro. Przeczesałem palcami włosy i przejechałem parę razy po białej koszuli dłońmi próbując wyprostować jej zagięcia. Nie miałem już czasu szukać jakiejś nowej... i tak nikt się nie zorientuje, że wczoraj byłem dokładnie w tej samej. Byłem nikiem ważnym – niespecjalnie przyjaznym podmiotem lirycznym w posępnej opowieści o tym, jak to wszystko kiedyś szlag jasny trafi.

Sięgałem już do szafy po płaszcz z szalem, gdy jednak przypomniałem sobie, że już dawno klimat na tyle się ocieplił, że pomimo końca listopada można było wyjść jedynie w koszuli.

Wizualizując kolejne godziny bezsensownej pracy za biurkiem udając, że robię coś produktywnego miałem ochotę wrócić i zawiązać sznur... jednak jakaś siła ciągnęła mnie do przodu. Przechodząc pod rusztowaniami i mijając parę bezdomnych popijających już od siódmej rano pół litra zacząłem szukać moich papierosów. Wydawało mi się, że wsadzałem je do kieszeni spodni, lecz była tam tylko zapalniczka.

– Cholera – mruknąłem.

Zawsze ich zapomnę. Akurat przechodziłem obok małego kiosku, który prowadziła starsza pani. Czasem kupowałem tu flaszki lub szlugi. Sprzedawczyni zawsze coś do mnie zagadała i obgadywała tym samym pół osiedla.

Szybkim krokiem przeszedłem na drugą stronę ulicy i pochyliłem się do małego okienka.

– Dobry panu, co dziś podajemy? – gruba kobieta oderwała się od czasopisma.

– Papierosy.

– Te co zawsze?

– Ta...

– Już panu szukam. – Kobieta nachyliła się pod ladę i po chwili położyła przede mną małą niebieską paczkę. – Trzydzieści.

– Ostatnio było dwadzieścia pięć – zmarszczyłem brwi.

– Inflacja – wzruszyła ramionami.

– Inflacja... – mruknąłem pod nosem niezadowolony i zacząłem szukać drobnych.

– Zbliża się czwarty bieg – powiedziała nagle kobieta, chowając drobne do kasy.

– Proszę? – zapytałem zmieszany.

– Każdy obieg trwa około dwudziestu lat. Po czwartym obrocie dzieje się coś strasznego, jakiś kataklizm czy wojna... a później nastaje cisza na kolejne osiemdziesiąt lat. Nazywają to saeculum... nie słyszał pan? Ostatnio każdy o tym mówi – zmarszczyła brwi.

– To tylko głupie tematy z takich to gazek jak pani czyta. Człowiek i bez tego ma za dużo zmartwień – parsknąłem pokazując na kolorową gazetę, którą to trzymała kobieta w dłoniach.

– Poczekamy zobaczymy – mruknęła pod nosem. – Ten obrót nie będzie zwykły... ma być ostateczny.

– O końcach świata to słyszę od urodzenia prosze pani, miłego dnia życzę – dodałem chowając papierosy do kieszeni.

– To nie są wróżbiarze i księża łasi na kasę... to jest wszechświat! Nie wyprze pan prawdy, która trwała od wieków i trwać będzie! Proszę pana to jest koniec! – krzyknęła kobieta, wychylając głowę zza okienka kiosku.

Zignorowałem ją. Nie wierzyłem w takie bzdury. Końce świata, przepowiednie i horoskopy dobre były dla ludzi co mieli jeszcze wiarę czy nadzieję na cokolwiek. Ja nie wierzyłem już chyba w nic. Nadziei też już nie miałem. Byłem pusty, nieczłowieczy... jak duch przypatrujący się upadkowi świata z boku, podmiot liryczny w słabej historii...

Kiedyś zadałem sobie za zadanie znaleźć wiarę na podstawie tego, w którym kościele poczuje się najbardziej spokojny. Nieważne gdzie, zawsze byłem zestresowany, zezłoszczony, zrozpaczony i zmęczony tak samo. To pracą a to kobietą, która mnie zostawiła. Wódka, to ona przynosiła mi szczęście. Alkohol sprawiał, że myślałem wolniej... mniej. Łącząc go z moimi lekami mogłem zapomnieć o wszystkim. Bajka.

Czy wiedziałem, że się tym zabijam? Oczywiście... o to chodziło.

Straciłem sens życia, gdy nie dostałem się do szkoły aktorskiej. Kaśka – moja była dziewczyna załatwiła mi pracę w biurze jej ojca. Wierzyła, że gdy usiądę za biurkiem i garścią dokumentów to zapomnę... że może uda mi się pozbierać. Nigdy nie zapomniałem... nigdy się nie pozbierałem... aktorstwo mnie zabiło.

Do dziś tam pracuję i do dziś jestem martwy. Przekładam ważne dokumenty z jednego miejsca na drugie. Piję by stłumić te sny o graniu na scenie. Marzenia stały się koszmarami. Nie mogę patrzeć na teatr, bo mam ochotę sięgać za sznur. Zabija mnie myśl że jestem beznadziejny, zabijają mnie używki i ten świat, który umiera na oczach wszystkich a rząd nie robi nic.

Bogaci ludzie już dawno wynieśli się na przedmieścia do bezpiecznych stref. Chronią ich przed promieniowaniem, smogiem i wszystkim tym, co oni zepsuli. Reszta plebsu została tutaj w Babilonie, gdzie czekamy na śmierć.

Po parudziesięciu minutach stanąłem wreszcie pod budynkiem. Biały z antycznymi fasadami prezentował się dostojnie pośród ciemnych kamienic wokół. Ojciec Kaśki dbał aby

ten był odmalowywany co miesiąc, by kurz i zanieczyszczenia nie przyległy do nieskazitelności białej farby.

Miałem już wchodzić po marmurowych stopniach, gdy nagle jakaś kobieta pociągnęła mnie za rękę i wcisnęła do małej kawiarenki obok zatraskując za sobą drzwi.

– Co pani robi?! – krzyknąłem. – Do pracy jestem spóźniony! Opiszę panią na moim profilu w social mediach... wszyscy będą wiedzieć, że pani to świruska! – krzyknąłem wyciągając z kieszeni telefon.

– Proszę przestać krzyczeć, nie widzi pan... – przyłożyła mi przed oczy jej telefon. – Właśnie media opublikowały wiadomość, że lecą na nas bomby... zniszczą wszystko... to koniec!

– To jakieś pomówienia jak te przypowieści o końcu świata i tych obrotach... co babka w kiosku obok huczała.

Chciałem już wychodzić, gdy usłyszałam świt, huk i nawet nie wiem co dalej. Pamiętam tylko moją ostatnią myśl. Tą przed nicością, tak szybko, że ledwo zdążyłem być jej świadom.

Pomyślałem, że mogłem spróbować jednak zdać jeszcze raz do teatru, nie pozwolić Kaście odejść, nie tykać alkoholu i uwierzyć w saeculum... Może umarłbym wtedy szczęśliwy? Spełniony? Kochany? Może byłbym teraz z kimś, kogo kocham a nie z przypadkową kobietą której nawet nie podziękowałem, że uratowała mnie przed śmiercią w budynku którego nienawidzę. W miejscu w którym ojciec Kaśki trzyma mnie tylko z litości, nawet jeśli ta już ma męża i trójkę dzieci...

Mogłem spróbować jeszcze raz...lub w ogóle nie tworzyć marzeń o aktorstwie.

Scena mnie zniszczyła, choć nie byłem nawet jej bliski. Do końca jednak wierzyłem, że wejdę kiedyś jej deski, że powiem choć jedno zdanie, że usłyszę choć jedną osobę bijącą mi brawo. Nigdy o niej nie zapomniałem, a oddałbym wszystko by zapomnieć, by umrzeć nie myśląc o teatrze.

Jak śmiesznie... urodziłem się w saeculum i w nie umarłem...

Może dlatego mi nie wyszło?

To już jednak bez znaczenia...

Okrażenie dobiegło końca...

Ktoś inny teraz będzie rozmyślał o tym za kolejne osiemdziesiąt lat... jeśli ktokolwiek przeżyje...

Gdy to czytasz to ja już jestem martwy.

Chcę tylko jeszcze wiedzieć... tak na koniec, dla pewności...

Czy znasz datę kolejnego saeculum?

I co zrobisz w ten dzień... dzień twojego końca?